

**JACEK DEHNEL**

**Korytarz, późna jesień**

—*pociąg Gdańsk-Bydgoszcz-Toruń, 21. XI. 2003*

Wychodzę z przegrzanego—jak zwykle—przedziału.  
Od rana same Breughle, bo to późna jesień  
(gdyby nie jakaś stacja od czasu do czasu,  
jakiś blok i bocznica, pociąg by udawał  
salę w Kunsthistorisches z zupełnym mistrzostwem;  
puścić między te wierzby chłopów z tasakami  
w karminowych kubrakach i w spodniach niebieskich  
i malować starannie, z paletą i z głową. . . ) .  
Otwieram któryś obraz (pani obok pali)—  
—widok przejrzysty, jakby zdjęć mgłę i werniksy:  
pod ścianą rosochaczy (które ktoś życzliwy  
nazwałby może laskiem) szafirowa chmura,  
obok druga, czerwona, na tle czarnych żerdzi.

Jak zawieszono w mrozie rozpylone krople  
zakrzepłej farby albo zdjęcie elektronów.

Mieszczuch—nie znam, więc szukam w głowie; pociąg zwalnia;  
i znajduję: że krzewy tarniny i głogu  
(czyli cierpkość rosnąca pospołu z miłością;  
mieszczuch, ale z książkami), z których liście właśnie  
opadły, zostawiając obłoki owoców.

I jakby nie opisać, po tych wszystkich Breughlach  
po wszystkich erudycjach—ta gwałtowność piękna.  
Od kogo taki prezent, tak niespodziewany  
w dwudziestym trzecim roku: te krzewy tarniny  
i głogu, te obłoki przypięte do ziemi?  
Odpowiedź: “Od nikogo” byłaby niewdzięczna  
i, na szczęście, zbyt prosta. Tarniny znikają.

**JACEK DEHNEL**

**Train Corridor, Late Fall**

*—Train, Gdańsk-Bydgoszcz-Toruń, 21 November 2003*

I slip out of the compartment—stuffy, as usual.  
Since daybreak, I've seen one Breughel after another  
as it's late fall (and if not for some station now and then,  
some apartment block or side track, this train would resemble  
a gallery of the Kunsthistorisches with its exacting replicas:  
oh, to drop those villagers with carmine doublets and blue trousers  
between the willows, cleavers in hand, and to paint them  
so meticulously with both palette and the mind). . . .  
I unlatch an image (the woman next to me is smoking)—  
a landscape so clear, as if all fog and varnish had vanished:  
beneath a wall of twisted branches (which some gracious soul  
might call a grove) a lapis cloud looms beside a red one,  
against a backdrop of thin, black trunks.

As if suspended in cold air, like atomized splotches  
of clotted paint or a photo of electrons.

A city guy, I'm weak on trees, so I scan my memory;  
the train slows, and the names come: blackthorn and hawthorn  
(or tartness grafted with love—  
I'm strong on nature, thanks to books), their leaves just fallen,  
revealing clouds of sloe plums.

And after all those Breughels, all that mental effort,  
how not to describe it: this fierceness of beauty.  
The hawthorns and blackthorns, those clouds  
sticking to the ground. Such an unexpected gift  
and from whom, in my twenty-third year?  
The answer "From no one" would be ungrateful  
and, in truth, too simple. The blackthorns fly past.

**translated from the Polish by Karen Kovacic**